

Projekt książki Stanisława Lema

Zofia Kołątaj



Pracownia Projektowania Komunikacji Wizualnej i Typografii
prowadzący: dr hab. Artur Frankowski, prof. ASP
Wydział Wzornictwa, ASP w Warszawie

modele
6x6cm



tworzywo
+ papier

otwieranie
360°

gradient
- poświęta
dwóch słońc



„wisząca”
w przestrzeni
kula

ilustracje

okładka

kredki
flamastry



ilustracje
przytekstowe



ilustracje
otwierające
rozdziały



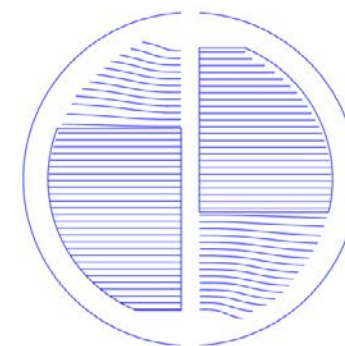
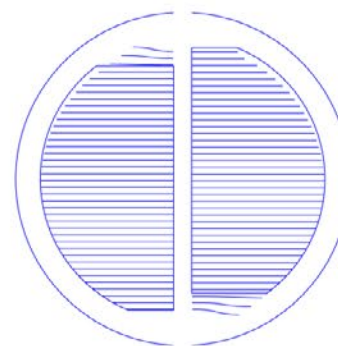
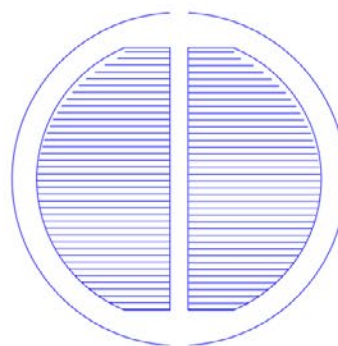
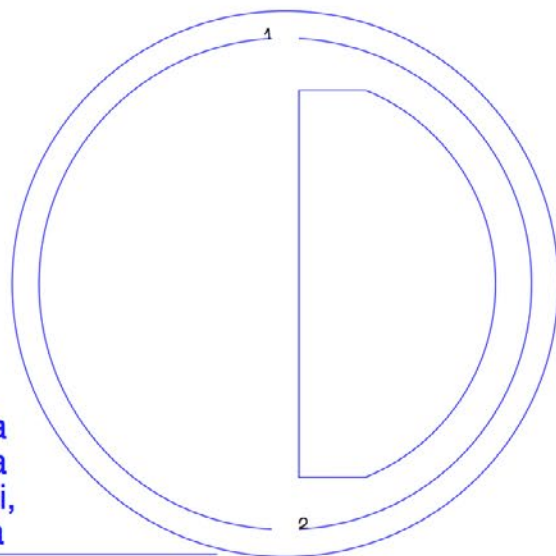
Przybysz



Solaryści

layout
-konstrukcja

paginacja
przesuwa
się po osi,
2p/strona



falujące
wiersze



stopniowa
deformacja

warła się sze-
roka szczelina, przez
którą zobaczyłem
gwiazdy. Na próżno usi-
lowałem odszukać alfę
Wodnika, ku której odlatywał
Prometeusz. Niebo tych stron
Galaktyki nic mi nie mówiło, nie zna-
łem ani jednej konstelacji, w wąskim
odniku trwał roziskrzony kurz. Czeka-
łem, kiedy pierwsza gwiazda zafiliuje. Nie
dostrzegłem tego. Zaczęły tylko słabnąć
i zniknąć, rozplywając się w rudującym tle.
Zrozumiałem, że jestem już w wierzchoł-
nych warstwach atmosfery. Szttywny, otulony
pneumatycznymi poduszkami, mogłem pa-
trzeć tylko przed siebie. Wciąż jeszcze nie by-
ło horyzontu. Leciłem i leciałem, wcale tego
nie czując, tylko powoli, podstępnie, ciało mo-
je oblewał żar. Na zewnątrz zbudzi się cichy,
przenikliwy świegot jakby metalu po mokrym
szkle. Gdyby nie cichy, wyskakujące w otwo-
rze wskaźnika, nie zdawałbym sobie sprawy z
gwałtowności upadku. Gwiazd już nie było. 3
Przeziemnik wypełniała ruda jasność. Słysza-
łem ciężki chód własnego tętna, twarz pa-
liła, na karku czułem zimny powiew klima-
tyzatora; załowałem, że nie udało mi się y
zobaczyć Prometeusza - musiał być już
poza zasięgiem widoczności - kiedy au-
tomatyczne urządzenie otworło prze-
ziemnik. Zasobnik zadrgotał raz i dru-
gi, zawibrował nieznacznie, drżenie to
przeszło przez wszystkie powło-
ki izolacyjne, przez powietrzne
poduszki i wtargnęło w głąb
mego ciała - seledynowy
kontur wskaźnika roz-
mazał się. Patrza-

łem na to bez
strachu. Nie przy-
leciałem z tak daleka,
aby zginąć u celu. - Stacja
Solaris - powiedziałem. - Sta-
cja Solaris, Stacja Solaris! Zrób-
cie coś. Zdaje się, że tracę stabi-
lizację. Stacja Solaris, tu przybysz.
Odbiór. I znowu przegapiłem ważny
moment: ukazania się planety. Rozpo-
stała się olbrzymia, płaska; z rozmiaru
smug na jej powierzchni mogłem się zo-
rientować, że jestem jeszcze daleko. A wła-
ściwie - wysoko, bo minąłem już tę niepo-
chwytłą granicę, u której odległość od ciała
niebieskiego staje się wysokością. Spadałem.
Wciąż spadałem. Czułem to teraz, nawet
zamknawszy oczy. Otworłem je natychmiast,
bo chciałem jak najwięcej zobaczyć. Wyczeka-
łem kilkadziesiąt sekund ciszy i ponowem we-
zwania. I tym razem nie otrzymałem odpo-
wiedzi. W słuchawkach salwami powtarzały
się trzaski atmosferycznych wyładowań. Ich
tłem był szum, tak głęboki i niski, jakby stano-
wił głos samej planety. Pomarańczowe niebo
w przeziemniku zaszło bielmem. Jego szkło
świeciło, odruchowo skurczyłem się, na-
le pozwoliły pneumatyczne bandaże, za-
nim, w następnej sekundzie, pojawiłem, że
to chmury. Jak zdmuchnięta, ławica
ich uleciała w górę. Szybowałem da-
lej, raz w słońcu, raz w cieniu, zasob-
nik obracał się wzdłuż pionowej osi
i olbrzymia, jakby spuchnięta, tar-
cza słoneczna miarowo prze-
plywała przed moją twa-
rzą, pojawiając się z
lewej i zachodząc po
prawej. Naraż

poprzez szum
i trzaski szum
ucho zaczął gadać da-
leki głos. - Stacja Solaris do
przybyścia. Stacja Solaris do
przybyścia. Wszystko w porządku.
Przybysz pod kontrolą. Stacji.
Stacja Solaris do przybyścia, przy-
gotować się na lądowanie w chw-
li zero, powtarzam, przygotować się
do lądowania w chwili zero, uwaga, za-
czynam. Dwieście pięćdziesiąt, dwieście
czterdzieści dziewięć, dwieście czterdzie-
ści osiem. Poszczególne słowa przedzie-
lone były ulamkowymi młuknięciami, świad-
czącymi o tym, że nie mówi człowiek. To było
co najmniej dziwne. Normalnie, kto żył biegnie
na lotnisko, kiedy przybywa ktoś nowy, i do te-
go jeszcze prosto z Ziemi. Nie mogłem się jed-
nak dłużej nad tym zastanawiać, bo ogromny
krąg, jaki zataczało wokół mnie słońce, sta-
nał dęba wraz z równiną, ku której leciałem; 4
po tym przechyle nastąpił drugi, w przeciwną
stronę; kołysałem się jak ciężar olbrzymiego
wahadła i walcząc z zawrotem głowy, zoba-
czyłem na wstającym jak ślana przestwo-
rzu planety, przegowanym brudochłowym
i czarnymi smugami, drobniutką szar-
chownicę białych i zielonych kropek - znak
orientacyjny Stacji. Zarazem z trzaskiem
oderwało się coś od wierzchu zasobni-
ka - dług naszynek pierściennego spa-
dochronu, który zafurkotał gwał-
townie: w odgłosie tym było coś
niewypowiedziane ziemskiego -
pierwszy, po tylu miesiącach,
szum prawdziwego wia-
tru. Wszystko zaczę-
ło się dziać bardzo





1 • Przysz •

O dziewiętnastej czasu pokładowego zszedłem, mijając stojących wokół studni, po metalowych szczeblach do wnętrza zasobnika. Było w nim akurat tyle miejsca, aby unieść łokieć. Po wkręceniu końcówki w przewód, wystający ze ściany, skafander wydał się i odtąd nie mogłem już wykonać najmniejszego ruchu. Stałem – czy raczej wisiałem – w powietrznym łożu, zespolony w jedną całość z metalową skorupą. Podniosłem oczy, zobaczyłem przez wypukłą szybę ściany studni i wyżej schyloną nad nią twarz Moddarda. Znikła zaraz i zapadła ciemność, bo z góry nałożono ciężki ochronny stożek. Słyszałem ośmiokrotnie powtórzony świst motorów elektrycznych, które dociągały śruby. Potem – syk wypuszczanego do amortyzatorów powietrza. Wzrok przywykał do ciemności. Widziałem już selektywny kontur jednego wskaźnika. – Gotów, Kelvin? – rozległo się w słuchawkach. – Nie troszcz się o nic. Stacja cię odbierze – powiedział. – Szczęśliwej drogi! Nim zdążyłem odpowiedzieć, coś zgrzytnęło w gorze i zasobnik drgnął. Napiąłem odruchowo mięśnie, lecz nic więcej się nie stało. – Kiedy start? – spytałem i usłyszałem szmer, jakby ziarenka najdrobniejszego piasku sypały się na membranę. – Lecisz już, Kelvin. Bądź zdrowi! – odpowiedział bliski głos Moddarda. Zanim w to uwierzyłem, na wprost mojej twarzy roz-

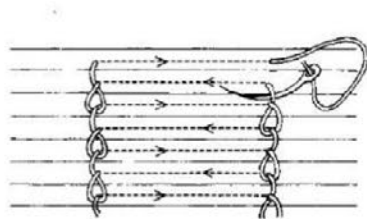
szycie

szycie
koptyjskie

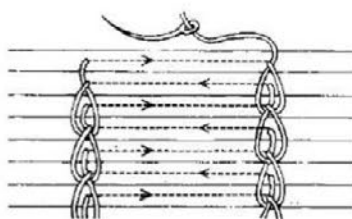
nagi
grzbiet

bez kleju

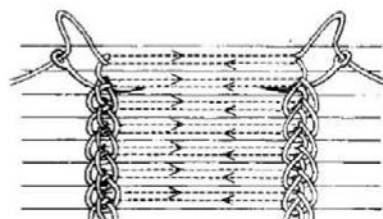
pozwalające
na otwarcie
360°



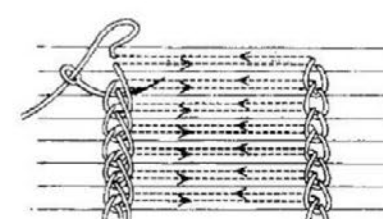
[g]



[h]



[i]

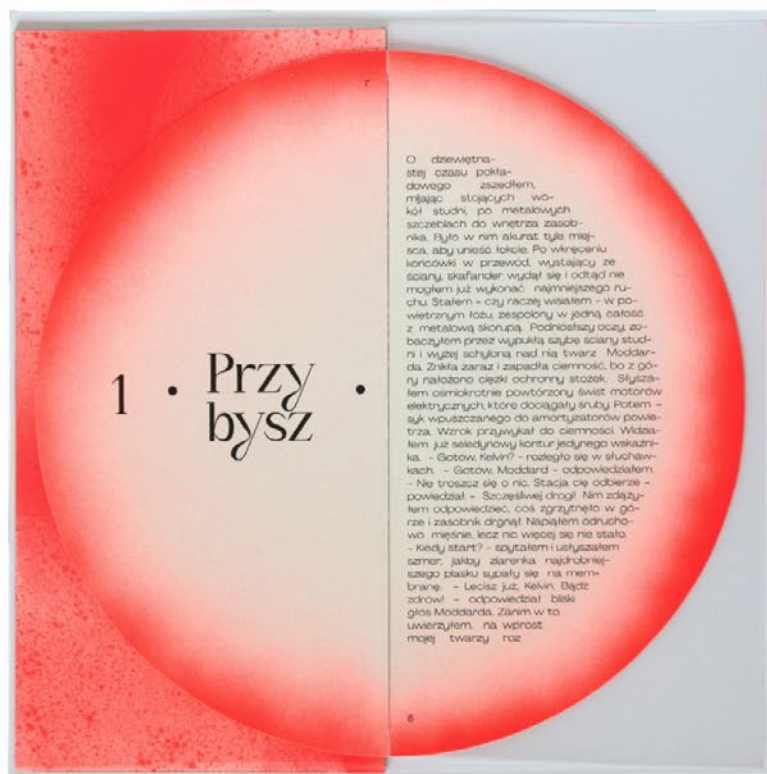


A

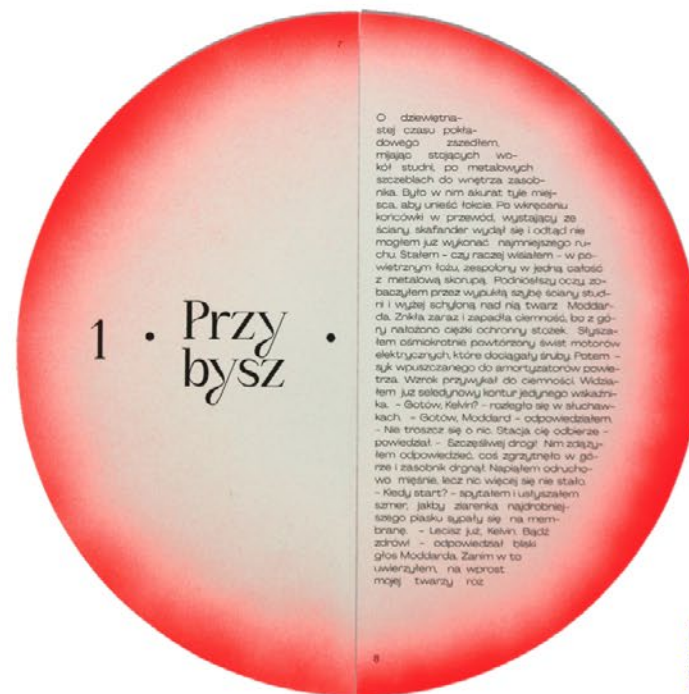
[k]

B

model
składki



wnętrze okładki
i folia z pleksi



papierowa strona
z posprayowanym
brzegiem